WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 26 (143)
Rok IV
28 VI 1964 r.

URODZIŁ SIĘ MURARZEM CZY TECHNIKIEM?

ZDZISŁAW KOZIOŁ

BYNAJMNIEJ nie przesadzają ci, którzy uważają, że rekrutacja do szkół średnich i wyższych uczelni jest jedną z poważniejszych akcji społecznych. Jej wynikami jest przecież żywo zainteresowana, pośrednio bądź bezpośrednio, prawie każda polska rodzina. Od podjęcia nauki uzależniona jest przyszłość młodego człowieka.

Przygotowaniom do egzaminów wstępnych towarzyszy niepokój: „zdam czy też nie, będę przyjęty czy też zabraknie miejsca". Już od lat niepokój ten przeradza się nierzadko w psychozę: **„czy tylko od wyników egzaminu uzależnione jest przyjęcie do szkoły?"**. Niejednokrotnie na naszych łamach postulowaliśmy konieczność zreformowania akcji rekrutacyjnej. W oparciu o konkretne fakty a nawet zjawiska ujawniane były także źródła rodzące ową psychozę. Temat ten jest rokrocznie aktualny, dysproporcja zaś między liczbą kandydatów a ilością wolnych miejsc w szkołach, głównie atrakcyjnych, rodzi niepokój i zdenerwowanie zainteresowanych. Atmosferę tę potęgują mankamenty systemu rekrutacji.

W bieżącym roku szkoły podstawowe na Rzeszowszczyźnie ukończyła rekordowa liczba młodzieży — około 33 tys. osób, (w ubr. — 31.203), a do szkół średnich i zawodowych przyjętych będzie 26.800 uczniów. M. in. licea ogólnokształcące przyjmą 5.320 uczniów, technika — 3.120, zasadnicze szkoły zawodowe — 7.000, międzyzakładowe i przyzakładowe szkoły zawodowe — 3.360 oraz szkoły przysposobienia rolniczego — 5.000. Chociaż tempo wzrostu absolwentów szkół podstawowych wyprzedziło w br. tempo tworzenia nowych miejsc w szkołach zawodowych i średnich, to jednak dalszą nauką objętych będzie około 80 proc. siódmoklasistów. Warto przypomnieć, że przed rokiem 1939 w Rzeszowskiem tylko 15 proc. młodzieży mogło w rejonie zamieszkania ukończyć 7 klasę, a 10 proc. pozostawało w ogóle poza szkołą podstawową.

Kto obecnie pragnie kontynuować naukę? Prawie wszyscy, gdyż blisko 95 proc. siódmoklasistów, w tym około 100 proc. absolwentów szkół miejskich. Pewne dysproporcje występują w szkołach wiejskich; z niektórych wiosek wszyscy siódmoklasiści ubiegają się o przyjęcie do szkół średnich i zawodowych, z innych zaś tylko połowa. Nieznane są bodźce ekonomiczne, społeczne i psychologiczne, które kierują młodzież do określonych typów szkół.

Liczba absolwentów szkół podstawowych, którzy mogą kontynuować naukę, określona jest w zasadzie obiektywnymi warunkami, m. in. zapotrzebowaniem na kadry w danej specjalności, możliwościami lokalowymi szkolnictwa itp. **(Postulat powszechności nauczania w zakresie szkoły średniej jest sprawą odległej przyszłości).** Ale kto spośród zgłaszających się zostanie przyjęty uzależnione jest głównie od nauczycieli zasiadających w komisjach egzaminacyjnych oraz w komisjach przyjęć. Ich decyzje mają doniosłe znaczenie. A podjąć je nie jest łatwo. Naukę winni kontynuować przede wszystkim najzdolniejsi; **jest rzeczą oczywistą, że pierwszeństwo w przyjęciu do szkół (internatów też) powinni otrzymać kandydaci z wielodzietnych rodzin, sieroty i półsieroty, szczególnie po weteranach walk.**

Ale system egzaminów nie zawsze pozwala na wyłonienie rzeczywiście najzdolniejszych. Stąd w wielu szkołach w dalszym ciągu jest zbyt duży odsiew, który przynosi gospodarce narodowej poważne straty. Wielu uczniów podejmuje naukę w szkołach, do których nie wykazują zainteresowania i zdolności. M. in. powoduje to, tak powszechne obecnie niezadowolenie z wybranego zawodu. Nie można także pominąć milczeniem rozpieszczania swych dzieci przez część rodziców, którzy czynią wszystko, by tylko nie podjęli nauki zawodów cięższych, w ich mniemaniu „brudnych". W dalszym ciągu sprawą otwartą jest wyrabianie już w szkole podstawowej zamiłowania do określonych zawodów. A tymczasem wielu podejmuje naukę, by „zaczepić się". Jeden z absolwentów szkoły budowlanej pracował tylko rok, po czym jego matka w skargach pisanych do różnych władz, domagała się przyjęcia go do innej szkoły, bo jej syn „urodził się nie murarzem, lecz technikiem samochowym". W jednym z techników rolniczych uczy się wielu chłopców, którzy nie mają nic wspólnego z rolnictwem oraz nie zamierzają podjąć pracy w tym zawodzie. Przykłady te można mnożyć.

Oddzielnym problemem jest atmosfera, w jakiej przebiega akcja rekrutacyjna. Rokrocznie w czerwcu szkołami, oczywiście atrakcyjnymi, interesuje się wielu ludzi; szkoły te zyskują licznych sezonowych „przyjaciół i sojuszników" począwszy od krewnych i znajomych pracowników resortu oświaty na różnych dyrektorach, prezesach i sekretarzach skończywszy. Różne formy nacisku na nauczycieli już nie raz wywoływały sprzeciw prasy, organizacji społecznych, rodziców.

Czy rzeczywiście kółka i krzyżyki na wykazach kandydatów stanowią „swojski" folklor atrakcyjnych szkół? Tak twierdzą przede wszystkim rodzice tych uczniów, którzy z różnych względów nie zostali przyjęci. Bo przecież tym bardzo łatwo usprawiedliwić przed znajomymi brak odpowiednich wiadomości, czy też wręcz lenistwo syna lub córki. Niejeden uczeń i jego rodzice postępują niczym ów jąkała ze znanej anegdoty, który zapytany dlaczego nie podejmuje pracy, odpowiedział: „Chciałem być spikerem w radiu, ale nie przyjęli mnie, gdyż nie mam wujka ministrem".

Ale nie ma dymu bez ognia — mówi ludowe przysłowie. Nacisk na szkoły, skomplikowany, a zarazem nielegalny system protekcji rodzi ową społecznie szkodliwą psychozę, odwraca uwagę młodzieży od nauki. Uczeń zamiast przygotowywać się do egzaminów, zdobywać wiedzę, wierzy w skuteczność interwencji, co wywołuje zawiść i zniechęcenie jego kolegi. Antywychowawczego charakteru tych praktyk nie potrzeba uzasadniać. Powodują one także i inne straty, m. in. obniżają sprawność kształcenia, gdyż naukę w danej szkole podejmują czasami nie ci, którzy gwarantują jej ukończenie.

Niezwykle ważnym problemem jest skład socjalny uczniów i studentów. Centralne władze partyjne już przed paru laty zwracały uwagę na zmniejszający się odsetek młodzieży chłopskiej i częściowo robotniczej na wyższych uczelniach. Przyczyn tego niepokojącego zjawiska należy doszukiwać się m. in. w szkołach średnich. By ten stan poprawić z szeregiem inicjatyw wystąpił Związek Młodzieży Wiejskiej.

Nad problemem tym obradował też niedawno Zarząd Wojewódzki ZMW w Rzeszowie. Działacze tej organizacji podkreślają, że w szkołach, które uprawniają do wstępu na wyższe uczelnie, odsetek młodzieży wiejskiej jest stosunkowo niski, w technikach na przykład wynosi 33—35 proc.: przeciwstawiają się występującym tu i ówdzie tendencjom, by młodzież wiejską kierować tylko do szkół rolniczych, słusznie podkreślając, iż zapobieżenie dalszemu rozdrobnieniu gospodarstw rolnych, wymaga przejścia wielu dzieci wiejskich do zawodów pozarolniczych. (Notabene tendencjom tym przeciwstawiają się także pedagodzy, którzy dowodzą, że młodzież ta odznacza się znacznie większą pracowitością). Szkoda jednak, że rzeszowscy działacze ZMW nie znają dokładnie całokształtu przyczyn powodujących spadek odsetka młodzieży wiejskiej w szkołach średnich. W referacie wygłoszonym na posiedzeniu ZW ZMW zwracają przede wszystkim uwagę na czynniki subiektywne, głównie protekcje, których pozbowiona jest młodzież wiejska. Bez wspólnego wysiłku nauczycieli, działaczy społecznych a nawet socjologów trudno wykryć wszystkie przyczyny tego zjawiska, co rzecz jasna utrudnia jego likwidację.

Rzeszowskie Kuratorium Okręgu Szkolnego wprowadziło obecnie pewne zmiany do akcji rekrutacyjnej. Na uwagę zasługuje przede wszystkim ujednolicenie egzaminów wstępnych, m. in. tematy egzaminów pisemnych będą jednakowe w całym województwie, gdyż w ubiegłych latach wymagania były często zawyżane lub zaniżane. Wprowadzono także punktowy system ocen adekwatniejszy od tradycyj-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Kompozycja z tulipanem.
Fot. JANUSZ WITOWICZ

ADAM POTASZ

„Więzienie było moim domem"

Spotkanie z działaczem robotniczego ruchu z lat 30-tych jest zawsze dla młodzieży atrakcyjne i ciekawe. Takim przynajmniej było dla nas — członków koła ZMP przy lubelskiej redakcji, którzy w latach 1951—1955 często spotykali się na swoich zebraniach z towarzyszką — jak nazywano ją powszechnie — Sarą. Tym bardziej, że wspomnienia z okresu pracy konspiracyjnej czy z pobytu w więzieniu prowadziła w sposób interesujący, żywy, no i dowcipny. Wyczerpująco odpowiadała też na liczne pytania. Pamiętam, że na pytanie: czy zamierza napisać o swoich przeżyciach książkę, mówiła z uśmiechem — nie wiem, nie wiem, bo ciągle mam mało czasu...

Okazuje się jednak, że czas się znalazł, gdyż ostatnio na półkach księgarskich ukazała się niewielka książka Sary Nomberg-Przytyk pt. „Więzienie było moim domem", którą wydało w bardzo starannej szacie graficznej Wydawnictwo Lubelskie. Raz jeszcze, ale już do szerszego audytorium i w sposób bardziej usystematyzowany przemówiła pięknym, barwnym językiem znana na Lubelszczyźnie działaczka ruchu robotniczego, która z chwilą ukazania się jej książkowego debiutu, daje się poznać licznym osobom w innych regionach kraju.

A trzeba od razu powiedzieć, że nie można było wybrać stosowniejszego momentu do prezentacji niż bieżący rok, w którym obchodzimy 20 rocznicę powstania Polski Ludowej. Silniej bowiem przemawiają do czytelników, a zwłaszcza młodych wspomnienia działaczki, dobrze znającej atmosferę lat walki o sprawiedliwy ustrój społeczny, pozwalają lepiej ocenić przebytą drogę i cały dorobek 20-lecia, są doskonałą okazją do przeprowadzania porównań, do snucia refleksji o tamtych i obecnych czasach.

Towarzyszka Nomberg-Przytyk dość wcześnie związała się z ruchem robotniczym. Już jako 14-letnia uczennica gimnazjum w Lublinie była organizatorką Związku Młodzieży Szkolnej, rewolucyjnej przybudówki KZMP. Rozpoczynając studia na Wydziale Prawa UW była członkiem Komitetu Okręgowego KZMP, a wkrótce potem KPP. Organizowała także lewicowy ruch studencki w Lublinie.

Wspomnienia zawarte w książce dotyczą lat spędzonych na Zamku Lubelskim. Część pierwsza obejmuje moment aresztowania, które nastąpiło 31 grudnia 1932 r. oraz niektóre wydarzenia więzienne z dwóch następnych lat. Część druga — z okresu 1937—1938. Autorka w krótkich rozdziałach przedstawia życie więźniarek politycznych, które wbrew policyjnej służbie więziennej, stosowania przez nią szykan i represji było dla wielu osób, ze względu na przyjacielską atmosferę panującą w komunie, nie tylko domem, lecz także szkołą. Dobrze bowiem zorganizowane więźniarki prowadziły tutaj oprócz szkoleń politycznych również naukę niektórych przedmiotów, a zwłaszcza języka polskiego i historii. Wspólnie przygotowywano różne akcje, słynne głodówki czy pierwszomajowe akademie.

Z kart książki zapoznajemy się nie tylko z działalnością komuny, lecz także z sylwetkami więźniarek tak z celi, w której odbywało się kwarantannę, jak również z celi politycznej. Autorka pisze o nich w sposób oszczędny, zwięzły a zarazem bardzo ciepły, bliski i serdeczny. Poznajemy też przedstawicieli służby więziennej. Szykany, jakie stosowali wobec więźniarek były z każdym rokiem brutalniejsze, a tuż przed samą wojną służba więzienna nie liczyła się z niczym. Regulamin więzienny stawał się coraz bardziej faszystowski. Więźniów bito, stosowano wobec nich ostre represje, brutalne kary. Autorka opisuje również słynne procesy lubelskich działaczy robotniczych, perfidne i prowokacyjne sposoby fabrykowania przez ówczesnych prokuratorów materiałów dowodowych przeciwko oskarżonym.

Książka Sary Nomberg-Przytyk, działaczki, która wiele lat życia spędziła w lubelskim więzieniu, a także w Fordonie, przeszła przez piekło białostockiego getta i hitlerowskich obozów koncentracyjnych wzbogaca naszą wiedzę o ludziach. Zwyczajnie, bez patosu i wielkich słów oddaje prawdę tamtych dni. Szczególnie dla ludzi młodych, pełnych energii i chęci do życia nie były ani proste, ani łatwe. Ukazanie właśnie trudnego procesu kształtowania się charakterów, hartowania woli, jest największą zaletą książki, którą uważać należy za cenną pozycję w naszej literaturze wspomnieniowej.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Religia a nauka

CO TO JEST MYŚL?

Dlaczego i jak człowiek może myśleć? Myśl ludzka jest to wynik pracy bardzo skomplikowanych urządzeń naszego mózgu. Myśl jest funkcją naszego mózgu. Bez mózgu człowiek nie może myśleć. Mózg jest narzędziem tego, co nazywamy u człowieka jego życiem psychicznym. Życie psychiczne człowieka, to jego zdolność myślenia, przeżywanie uczuć, wreszcie wola, zdolność decydowania i postanawiania o wyborze sposobów działania w stosunku do innych ludzi i przedmiotów otaczającego go świata.

Te wszystkie procesy odbywają się wewnątrz człowieka. Źródłem ich nie jest jakaś „niematerialna dusza", lecz materialna działalność mózgu. Również i nauka materialistyczna używa tradycyjnego słowa „dusza", ale w nauce nie oznacza ono odrębnej od naszego ciała niematerialnej duszy. Słowo „dusza" w nauce współczesnej oznacza to samo co „psychika człowieka", która jest wytworem mózgu.

Człowiek (jednostka) żyje w otaczającym go świecie przyrody i społeczeństwie innych ludzi. Jego zetknięcie się z otaczającym światem, z przyrodą, z istniejącymi i działającymi obok niego i wspólnie z nim innymi ludźmi, odbywa się za pomocą zmysłów: wzroku, słuchu, dotyku i tak dalej. Przedmioty i zjawiska otaczającego nas świata pobudzają nasze zmysły. Pobudzania te z kolei są przekazywane za pomocą nerwów do naszego mózgu, w którym są przetwarzane na wrażenia i spostrzeżenia. Np. znajdując się obok napalonego pieca, mamy wrażenie ciepła, umysł wzroku i dotyku potwierdza to wrażenie i uzupełnia je innymi jeszcze cechami przedmiotu zwanego piecem, w rezultacie tego procesu mamy spostrzeżenie ciepłego pieca.

Wrażeniem nazywamy odzwierciedlenie poszczególnych cech przedmiotów, które w danej chwili działają na nasze zmysły. Szereg wrażeń wywoływanych przez dany przedmiot tworzy bardziej skomplikowane zjawisko, które nazywamy spostrzeżeniem. Spostrzeżenie daje nam obraz nie jakiejś jednej cechy przedmiotu, lecz szeregu cech, jego całości.

Na przykład: drzewo jest zielone, wysokie, ma pień, gałęzie i liście. Sama zieloność liści nie da nam obrazu drzewa. Ale wrażenie zieloności, wysokości, gałęzi i pnia dają nam już obraz drzewa, spostrzeżenie drzewa. Szereg dalszych spostrzeżeń, jak kształt, liście, rodzaj kory itd. pozwoli nam dać pogłębione spostrzeżenie, pozwoli nam określić, jakie to drzewo: dąb, sosna czy brzoza.

Dzięki szczególnej budowie mózgu nasze wrażenia i spostrzeżenia możemy utrwalić. Możemy je zapamiętać. Dzięki temu możemy powtarzać spostrzeżone przedmioty materialne tylko przez samą pracę naszego mózgu. Obrazy spostrzeżonych kiedyś i zapamiętanych przedmiotów materialnych możemy odtwarzać (odzwierciedlać podobnie jak odbicie w lustrze), nawet wtedy, gdy tych przedmiotów przed nami nie ma. Obrazy przedmiotów, których w danej chwili przed nami nie ma, a które tylko możemy odtwarzać z pamięci, nazywamy wyobrażeniami. Wyobrażać sobie możemy przedmioty dokładnie tak, jak je zapamiętaliśmy, albo też i inaczej, to znaczy w połączeniu z innymi przedmiotami, zjawiskami i przeżyciami. Możemy w ten sposób wytwarzać nowe wyobrażenia, bardziej złożone. Porównując nasze spostrzeżenia i wyobrażenia, szukając między nimi związków łączących je, myślimy.

„Myśleniem nazywamy proces polegający na odzwierciedleniu ogólnych cech przedmiotów i znajdywaniu związków i stosunków pomiędzy przedmiotami".

Wszystko to razem: odbieranie za pośrednictwem materialnych zmysłów wrażeń, spostrzeganie, wyobrażanie (odzwierciedlanie), pamięć i myślenie pozwala nam poznawać otaczający nas świat i jego zjawiska.

Ale my nie tylko poznajemy otaczający nas świat, lecz również ustosunkowujemy się do poznanego.

Na przykład poznając nowego człowieka ustosunkowujemy się do niego. Zależnie od jego postaci, zachowania się w stosunku do nas i innych ludzi, lubimy go lub też ustosunkowujemy się do niego niechętnie, a nawet wrogo. Jego osoba i jego zachowanie wzrusza nas, budzi zachwyt albo odwrotnie — wstręt, strach lub nienawiść. Poznając więc przedmioty, ludzi i zjawiska jednocześnie przeżywamy słabsze lub silniejsze uczucia.

Uczucie, to nic innego jak stosunek człowieka do tego, co poznaje lub sam robi.

Aparatem, poprzez który czujemy, jest znów materialny aparat naszego systemu nerwowego i mózgu.

Wreszcie człowiek nie tylko poznaje otaczający świat i odczuwa go, ale przez cały czas swego życia przejawia aktywność, działa. To działanie może mieć różne formy i różne nasilenia, może być skuteczne i bezskuteczne. Zawsze jednak człowiek coś robi. Nawet największy leń zawsze coś robi, porusza się, odżywia, szuka wygodniejszych sposobów uprawiania swego lenistwa, jego usprawiedliwienia itp. Każda działalność człowieka składa się z szeregu aktów, jak gdyby części poszczególnych czynności, poszczególnych działań. W każdym działaniu występują trzy etapy: wybór sposobu działania, postanowienie działania i wreszcie wykonanie. Ten proces wyboru postanowienia i wykonania nazywamy procesem woli.

Człowiek więc poznaje, ustosunkowuje się do poznanego zjawiska (odczuwa) je i działa. Wszystkie te procesy jednak nie istnieją oddzielnie. Podejmując działanie ustosunkowujemy się do tego, co poznajemy, i do uczuć, które to w nas wywołuje.

Spróbujmy cały ten proces prześledzić na jeszcze jednym przykładzie:

Przechodzimy przez ogród. Na nasz zmysł powonienia oddziaływuje zapach. Odnosimy wrażenie zapachu. Oglądamy się uważnie i spostrzegamy róże. Róża jest to kwiat. Poznaliśmy kwiat róży. Ustosunkowujemy się do poznanej róży. Budzi ona w nas uczucia przyjemne. Chcemy przedłużyć te uczucia, następuje akt woli, wybieramy sposób: trzeba zachować różę przy sobie, trzeba ją zerwać. Postanawiamy: zerwać różę. Wykonujemy to.

Cały ten proces odbywał się wewnątrz nas, aż do momentu wykonania. Był bardzo szybki. Cały ten proces odbywał się poprzez pracę naszych nerwów i naszego mózgu. Byłby on niemożliwy bez nerwów i mózgu. Gdybyśmy mieli katar i związane z tym porażenia nerwów powonienia, gdybyśmy byli ślepi, nie poznalibyśmy róży, nie myślelibyśmy o niej, nie odczuwalibyśmy jej itd.

Najpierw musi być materialny system nerwowy i mózg, a dopiero potem dzięki niemu możemy poznawać, odczuwać i podejmować akty woli prowadzące do działania. Człowiek, którego mózg (nawet część mózgu) jest uszkodzony, lub który zachoruje, przestaje od razu myśleć tak jak inni ludzie, o takim człowieku mówimy, że jest chory umysłowo, że jest niespełna rozumu.

Słowem, aby myśleć, trzeba mieć prawidłowo zbudowany i działający mózg. A przecież nasz mózg jest materialny, jest specjalną formą wysoko zorganizowanej materii białkowej. Podstawą naszego myślenia jest materia naszego mózgu.

Myślenie nie ogranicza się tylko do odtwarzania, odbijania w naszym mózgu obrazów przedmiotów i zjawisk sygnalizowanych przez nasze zmysły.

Utrwalona w mózgu pamięć spostrzeganych przedmiotów (ich obrazu) lub dokonanych przez nas samych oraz innych ludzi czynów pozwala naszemu aparatowi mózgu tworzyć wyobrażenia złożone, a nawet wyobrażenia przedmiotów, których bezpośrednio nie widzieliśmy, które poznajemy z opisów, opowiadań innych ludzi itd.

Nasza wyobraźnia tworzy nowe obrazy na podstawie materiału dawnych spostrzeżeń. Te nowe obrazy są już tylko wytworem naszej myśli, są tylko produktem pracy naszego mózgu. Są to idealne obrazy rzeczy, które w rzeczywistości istnieją w innej formie albo też których w rzeczywistości w ogóle nie ma. Zostały stworzone przez nasz mózg.

Mówimy o nich, że są idealne, to znaczy istnieją tylko w naszej myśli.

Po to jednak, by powstawały idee i ich związki, aby powstawały całe systemy idei, całe poglądy na świat i ideologie, musi istnieć i pracować myśl ludzka, musi pracować ludzki mózg. Bez mózgu nie ma żadnych ideologii: również fałszywych ideologii.

Najpierw musi istnieć materialny mózg, a potem dopiero wyobrażenia tworzą idee, systemy poglądów, ideologie.

Najpierw więc musiała istnieć materia, a potem dopiero powstały różnego rodzaju ideologie. Również ideologia religijna. Nie moglibyśmy nawet myśleć o bogu — gdyby nie materialny mózg. Nie moglibyśmy się modlić, gdyby nie mózg. Nie bóg więc stworzył materię, a przeciwnie materia stworzyła ideę boga.

Opracował
ST. RYBARSKI

FILM POLSKI WŚRÓD JUGOSŁOWIAN

Najnowsze badania socjologiczne, które objęły sale kinowe Jugosławii, pokazały, że w ciągu ostatnich lat film polski stał się tu popularny i zajął miejsce wśród dzieł dziesięciu kinematografii świata, ściągających największą liczbę widzów.

Filmy polskie znajdują wdzięczną publiczność w środowisku kulturalnie bardziej rozwiniętym, zdobywają one sympatię również na prowincji, w szczególności wśród młodzieży. Spośród 900 filmów rodzimej i zagranicznej produkcji, wchodzących do repertuaru kin Jugosławii, ponad 40 wypada na dzieła polskiej kinematografii. Repertuar ten jest każdego roku odnawiany pięcioma albo sześcioma dziełami autorów polskich. Stan ten utrzymuje się mniej więcej na stałe od roku 1955, kiedy po raz pierwszy zwrócił na siebie szczególną uwagę publiczności jugosłowiańskiej film polski „Pościg" Stanisława Urbanowicza. Obecnie widzowie jugosłowiańscy oczekują z niecierpliwością ukazania się filmu „Czerwone berety".

Do najbardziej popularnych filmów polskich w Jugosławii należy zaliczyć: „Kanał", „Piątka z ulicy Barskiej", „Kariera Nikodema Dyzmy", „Człowiek na torze", „Eroica" „Prawdziwy koniec wielkiej wojny", „Popiół i diament", „Krzyż Walecznych", „Pociąg", „Matka Joanna od Aniołów", „Zamach", „Nóż w wodzie".

Największą popularnością w Jugosławii zarówno wśród krytyków filmowych, jak i szerokich kół widzów cieszy się twórczość Andrzeja Wajdy. Przyjazd jego do Jugosławii i udział w tworzeniu filmu „Powiatowa Lady Makbet" powitany został jako symbol zbliżenia kinematografii obu krajów. Nawet w tych wypadkach, kiedy krytyka nie była zadowolona z jego filmu jako całości, wyrażała swoje wielkie uznanie dlań jako dla reżysera, podtrzymywała wypowiedziane pochwały dla jego talentu i sztuki.

Nie mniejszą popularnością cieszy się Jerzy Kawalerowicz. Jego filmy, wyrażone językiem współczesnym, ich fabuła, stosunek autora do treści, sposób kształtowania symboli wzrokowych — wszystko to sprawia, że pracownicy kinematografii jugosłowiańskiej cenią go szczególnie wysoko. Dlatego też poszczególnym dziełom Kawalerowicza poświęcono wiele artykułów badawczych, polemicznych i analityczno-estetycznych. Objaśniają one i upowszechniają jego ideę i dzieła wśród publiczności kinowej. Wiadomość, że zostanie nawiązana współpraca między jugosłowiańskim studium filmowym (mowa tym razem o Sarajewskim „Bosna-filmie"), a Kawalerowiczem ucieszyła wszystkich wielbicieli tego wyjątkowego talentu. Zaproponowano mu opracowanie filmu, dla którego on sam, według własnego uznania, wybierze scenariusz.

W Jugosławii cenią również wysoko filmy Jana Rybkowskiego, Andrzeja Munka („Człowiek na torze"), Tadeusza Chmielewskiego („Ewa chce spać"), Tadeusza Konwickiego, Jana Laskowskiego („Ostatni dzień lata") i innych.

Każdy film polski sprowadzony do Jugosławii wyświetlany jest w całej sieci kinowej. O każdym z nich ukazują się recenzje w gazetach centralnych i terenowych. Przy tej okazji czytelnicy są informowani również o wielu interesujących sprawach polskiej kinematografii.

Jugosłowiańscy znawcy sztuki filmowej (którzy w ramach dyskusji publicznych urządzali przeglądy czołowych filmów polskich oraz demonstrowali twórczość poszczególnych reżyserów), zaliczają kinematografię polską do jednej spośród sześciu najbardziej interesujących w Europie.

PETAR WOLK

„Więzienie było moim domem"

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Można jedynie wyrazić żal, że autorka ograniczyła swoje wspomnienia do pobytu w więzieniu. Wydaje się, że szersze i bogatsze uwzględnienie materiałów z pracy w organizacjach młodzieżowych i studenckich, ukazanie rozwoju postępowej myśli wśród ówczesnej młodzieży, roli, jaką te organizacje odgrywały w konkretnych środowiskach, uczyniłoby z książki pozycję o pełniejszej treści. W tym bowiem ujęciu odczuwa się po jej przeczytaniu niedosyt bodaj najskromniej potraktowanych wspomnień o działalności poza murami więzienia.

W sumie jednak książkę Sary Nomberg-Przytyk warto przeczytać. Powinna to zwłaszcza uczynić młodzież. Dla mieszkańców Rzeszowszczyzny książka ta jest szczególnie bliska ze względu na łączące nas więzy sąsiedzkiej przyjaźni, datującej się nie od dzisiaj. Opisane przeżycia były przecież udziałem niejednego działacza robotniczego i z naszego województwa. (ap)

Urodził się murarzem

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nych „piątek" i „dwój". KOS zaleca także, by najzdolniejsi uczniowie kierowani byli do techników i liceów ogólnokształcących.

Akcją rekrutacyjną kierować będą powiatowe komisje, w skład których wchodzą dyrektorzy szkół i tzw. czynnik społeczny. Mają one m. in. zatwierdzać listy przedkładane przez poszczególne szkoły, likwidować ewentualne pomyłki itp. Czy jednak komisje powiatowe są w stanie sprostać temu zadaniu: czy nie ograniczą one kompetencji szkolnych komisji przyjęć, czy wreszcie zatwierdzanie list kandydatów nie jest swego rodzaju brakiem zaufania do szkoły? Pomoc czynnika społecznego w przeprowadzeniu rekrutacji jest bezwzględnie potrzebna; przedstawiciele komisji rad narodowych, komitetów rodzicielskich, organizacji młodzieżowych i politycznych mogą z pożytkiem dla młodzieży i szkoły zwracać uwagę na szereg aspektów społecznych, ale pod warunkiem, że nie przyniosą oni z sobą gotowych list sporządzonych według kryteriów znajomości czy pokrewieństwa.

Mimo tych zastrzeżeń, inicjatywa Kuratorium oznacza pewien postęp, szczególnie w organizacji egzaminów i rekrutacji. Wielu moich rozmówców zwracało jednak uwagę na konieczność wprowadzenia zmian strukturalnych. M. in. wicekurator mgr **Stanisław Grabowski** mówił o celowości wprowadzenia dwustopniowych szkół rolniczych; do techników rolniczych (3-letnich) winni być przyjmowani absolwenci SPR-ów, co niewątpliwie przyczyniłoby się do podniesienia ich rangi, a w technikach uczyliby się rzeczywiście przyszli rolnicy.

Nie pozbawiona jest także racji sugestia dyrektora Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Rzeszowie inż. **T. Barana**, który uważa, że w technikach należy zwiększyć ilość oddziałów dla absolwentów zasadniczych szkół zawodowych. Notabene szkoła ta już od lat wykazuje się wysokim poziomem nauczania, szczególnie w klasach, do których kierowała uczniów poradnia psychologiczna. Warto więc, by psychologowie pomogli w rekrutacji do wszystkich szkół zawodowych, szczególnie technicznych.

We wrześniu naukę rozpocznie 26.800 uczniów szkół ogólnokształcących i zawodowych. Trudna akcja rekrutacyjna wymaga niemałego wysiłku i społecznego zaangażowania.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

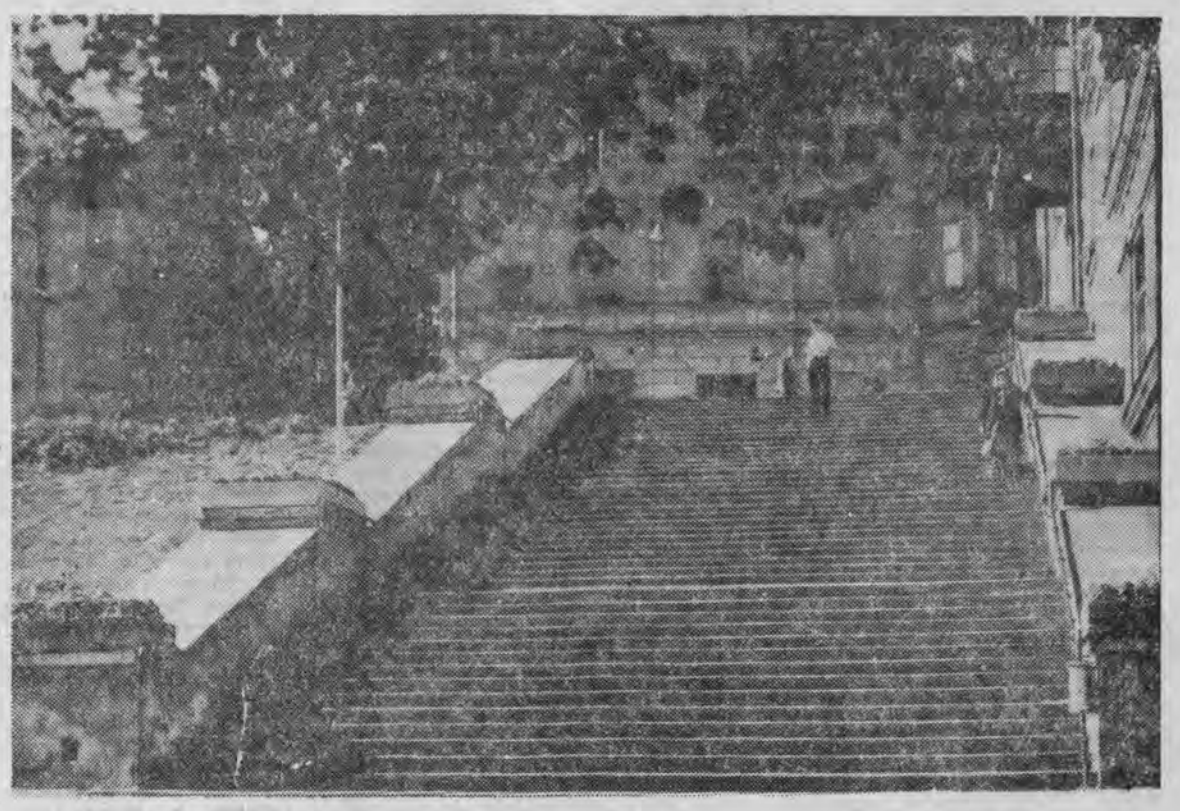

Przemyskie schody. *Fot. Z. POSTĘPSKI*

(Fragment opowiadania)

Rozkisłe wiejskie drogi. Zapach ziemi. Kwiaty najpierwsze, najpiękniejsze. Przedwiośnie. Wiatr przesuwa po niebie tabuny chmur i kołysze gałęzie drzew.

Widzę ludzi. Idą przeciw wiatrowi, zmagają się z nim, wiatr szarpie poły ich płaszczy. Ach, znam to uczucie zmagania się. Dobrze jest zmagać się i nie ulegać. Ja również, ja również jestem jednym z nich.

Jestem młody. Nie wierzcie, że człowiek się starzeje. Jestem młody, młody — mam osiemnaście lat i nie wiem, co to siwizna i nie umiem odważać czynów na szali korzystnych interesów.

Codziennie modlę się do biało-różowych gwiazd, zawieszonych na gałęzi dzikiej przydrożnej jabłoni. Codziennie od nowa burzę pałace i fabryki, wyrywam z bruku kamienie i podkładam petardę pod ustrój, którego nienawidzę. A wieczorem — wieczorem jestem poganinem, modlę się do gwiezdnych archipelagów i do księżycowej pełni i uszczęśliwiam cichą dziewczynę o twarzy Madonny, słodką dziewczynę, kucharkę naszego gospodarza, piękność milczącą, dla której świat jest równie wspaniały jak dla mnie, choć ona nie potrafi swoich doznań opowiedzieć.

— Nadejdzie dzień — mówię do niej — nadejdzie dzień, w którym twoje ramiona okryją gronostaje.

Dziewczyna nie wie, co to gronostaje, lecz nie one przecież są ważne.

— Przez ciebie umrę — mówi mój dobry, drogi ojciec, gdy wracam późną nocą do izby. — Mógłbyś się przecież ożenić z jakąś dziewczyną z bogatego domu i mnie też by było lżej. Nie mam już zdrowia do roboty. Sam to widzisz.

— Widzę, ojcze, widzę. Bądź tylko cierpliwy. Jeszcze rok, jeszcze dwa. Wszystko się zmieni. Zobaczysz, ojcze...

— O czym ty mówisz? — oburza się ojciec. — Jeszcze kto usłyszy i posadzą cię.

— Bądź spokojny, jestem ostrożny...

Za drzwiami ciemność i podwórko, brudne, ciasne, pełne rupieci i cuchnących odpadków.

Nastka drży na przeciągu w długim ciemnym korytarzu. Ujmuję ją za ramię i idziemy w noc szpalerem kwitnących kasztanów, tarasami, na których pachną róże, trawnikami puszystymi, płyniemy gondolą, unosimy się na latającym dywanie — ponad dachami zgrzybiałych domków, ponad błotnistymi uliczkami, odpoczywamy na cebulastej kopule prawosławnej cerkiewki, mijamy kościoły i meczety, klasztory i bożnice; spłoszone kozy na zboczu podmiejskiego wzgórza głośno wyrażają swoje zdziwienie. Nastko o twarzy Madonny, Nastko — dziewczyno od gospodarza. Podłożę rękę pod twoją główkę, betonowa podłoga jest twarda i zimna; kocham cię, Nastko, i gdy nadejdzie dzień, okryję cię futrem, jakiego nie nosiła żadna królowa.

— Ubierz się, Nastko — mówię do niej cicho i delikatnie, tak jak się budzi małe dziecko. — Coś tam się stało w naszym domu. Te kroki — słyszysz?

Skrzypią buty z cholewami, twardo uderzają o bruk.

Rewizja. Szukają bibuły.

Ojciec pali fajkę. Milczy, a mięśnie jego twarzy drgają podejrzanie.

— Nie wyrzucajcie słomy z siennika. Do diabła z taką robotą. Chlew mi robicie z mieszkania.

— Za dużo pan gada.

— Ja nie z tych, co się boją — rozkrzyczał się ojciec. — Możecie mnie zabrać. Psia krew, małoletniego chłopca aresztują. Wstyd, panowie. Hańba!

— Idź już — popycha mnie barczysty policjant. — Idź!

Ta sama noc, lecz nie ma gwiazd. Żółte plamy światła ścielą się z okien parterowych domków na zabagnione uliczki. Biedne uliczki i miasto biedne. Biedny świat. Wiatr świszcze w uszach, zgrzytają wywieszki na sklepach. W bramie tulą się do siebie dwa cienie.

— Znów go prowadzą.

Znów? Oczywiście. To już nie pierwszy raz i nie ostatni.

Piwnica. Krętymi schodkami staczam się w przepaść, w ciemność. Pchnięcie w plecy i zgrzyt przekręcanego klucza.

W tym świecie nie ma światła. Dlaczego jest ciemno?

— Kto przyszedł?

— To ja — odpowiadam i rozpoznajemy się po głosach; jest nas tu więcej — dziesięciu, dwudziestu. Leżymy ciasno na pryczy, ćmimy papierosy. Ach, jest całkiem przyjemnie — zazwyczaj spotykamy się tylko w czwórkę, w piątkę, dziś jest nas tu pełna cela. Może nawet jeszcze kogo przyprowadzą. No, miejmy nadzieję że nie. Przynajmniej — dzisiaj — nie...

— Jak myślicie? Czy to wsypa na długo?

— Nie ma wsypy. Jutro wyjdziemy.

Jutro wyjdziemy, lecz kto wie czy wszyscy. Jutro... Teraz jeszcze jest noc.

Jak wy sądzicie — jaki przebieg będzie miała rewolucja w Polsce. Żeby to można było przewidzieć, kiedy... Optymizm Kautsky'ego jest optymizmem oportunisty. Tak, ale powinniście go jednak przeczytać. A mnie się zdaje, że...

Przymykam oczy i widzę świat, nowy, piękniejszy niż ten, który stworzyłem dla Nastki. Gwiazdy przenikają przez strop magistrackiej piwnicy, księżyc wyłania się zza chmur, jaśnieje niebo, kołyszą się drzewa i rosa perli się na ich gałęziach.

— Dzień dobry — warczy policjant i wyprowadza nas z celi. Idziemy do komisariatu na przesłuchanie.

Szeroka twarz, znajoma, ileż to razy widywałem ją we śnie. Pulchna twarz, dobroduszna i biała, trochę wągrowata, ale swojska, można powiedzieć — prawie bliska. Gdybyście wiedzieli, jak bardzo byliśmy do siebie przywiązani; trwało to już kilka lat — kilka lat nasze drogi splatały się z sobą — a było to przywiązanie psa prowadzonego na smyczy do swego pana. Nie, nie ja byłem tym psem. Ja byłem panem — ode mnie uzależniony był spacer człowieka, który mnie inwigilował. Mogłem wlec go za sobą godzinę lub trzy godziny, mogłem iść w upał lub deszcz, w wichurę, w śnieżycę. Gdy przystawałem obok okna wystawowego, on również przystawał kilka kroków za mną. Gdy ruszałem, on też ruszał. Przechodziłem przez kręte pasaże — on szedł za mną. Szedł lub biegł zadyszany — ja decydowałem o jego wysiłku i o jego odpoczynku. Był gruby, już niemłody i męczył się, więc czasami dawałem mu wytchnąć. Gdy wychodziłem na ulicę, rozpoznawałem, kiedy zjawiał się za mną. Odczuwałem to gdzieś na grzbiecie, w okolicy kręgosłupa, między jedną a drugą łopatką. Czy to nie dziwne?

Bywałem zaniepokojony, gdy go nie było. Zdarzało się to czasem. Może był chory lub miał inne obowiązki. Czułem się wówczas jak człowiek, który zgubił swój cień, lub jak człowiek, który zgubił swego psa. Albo — może byłem zaniepokojony, że za mną kroczy teraz ktoś niebezpieczniejszy, przed kim trudniej mieć się na baczności, ponieważ nie znam jeszcze jego twarzy, jego głosu i forteli.

Oto gruby pies, towarzysz moich spacerów, mój cień, rozparty szeroko na krześle. Uśmiechnięty i triumfujący.

— Siadaj!

Usiadłem na brzegu krzesła, skupiony i trochę spokojniejszy. Może to lepiej, że on, a nie inny tu siedzi. Zawsze to jakaś znajomość. Najgorzej jest mieć do czynienia z nieznajomym, bo człowiek nie wie, do czego tamten jest zdolny.

Patrzył na mnie wnikliwie, wwiercał się we mnie burymi oczyma. Próbowałem odgadnąć jego milczenie. Może chciał powiedzieć tak: Dlaczego pastwisz się nade mną? Dlaczego wleczesz mnie godzinami za sobą? Czyż nie widzisz, że mam płaskie stopy i brzuch, który mi przeszkadza w chodzeniu? Czy nie rozumiesz, że mam żonę i dzieci? I że komisarz wścieka się, ile razy wracam z niczym ze spaceru?

Diabli wiedzą czy tak myślał i o czym myślał.

W pewnej chwili wstał i zaproponował mi papierosa. Odmówiłem. Pstryknął zapalniczką i zaciągnął się dymem.

— Teraz już wszystko wiemy — powiedział z wylewnym uśmiechem.

— Tobie nic nie zrobimy, boś jeszcze młody. Wycofasz się z tych spraw i puścimy wszystko w niepamięć. Musisz się tylko przyznać i podpisać papierek.

Milczałem.

— Widocznie nie wierzysz, że wszystko wiemy.

— Wiem, że wszystko wiecie. A skoro wszystko wiecie, to musicie wiedzieć, że ja nic nie wiem.

— Jeśli się nie przyznasz, to ci nogi z d... powyrywamy.

Przytknął mi pięść do nosa i rozpoczął litanię wyzwisk. Obrażał mnie i moją matkę, i moich przodków do dziesiątego pokolenia wstecz. Wiedziałem jednak, że jest bezsilny. Nie miał tych dowodów, którymi mógłby nade mną zatriumfować. W pewnej chwili zmienił ton i sapiąc ciężko powiedział:

— Myślę, że kogoś z nas rychło szlag trafi. Mnie albo ciebie.

— Wola boska — odpowiedziałem z uprzejmym uśmiechem, skrzyżowawszy ramiona na piersiach.

Wieczorem wypuszczono nas na wolność. Nastka czekała na mnie przed ratuszem. Poszliśmy razem do domu i przedstawiłem ją ojcu. Zrobił srogą minę, popatrzył na nią wilkiem, ale dziewczyna pocałowała go w rękę — była skromna i spodobała mu się.

— Poczęstuj ją herbatą — powiedział, a potem od stóp do głów zmierzył ją powolnym krytycznym spojrzeniem i dodał: — Zdejm no ten bucik panienko. Fleczek trzeba przybić. — I już usiadł na swoim szewskim stołku.

To było na przedwiośniu.

RYSZARD BILSKI

Z DZIEJÓW 400-letniego miasta

RÓŻNOKOLOROWE rakiety zapalają się co chwilę nad miastem. Barwne ogniki oświetlają na krótko jego fragmenty, szybko spadają... gasną. Po kilku sekundach ciemności znów przerywa kolorowa kaskada. Z okien małych kamieniczek okalających rynek setki mieszkańców podziwiają ten świetlny koncert. Po pracowicie spędzonym na wielu imprezach dniu, jeszcze raz spoglądają na swoje miasto, które kończy właśnie czterechsetny rok życia.

Sokołów wywodzi się z osady leżącej na skraju Puszczy Sandomierskiej. Być może było to obszerne leśnictwo skupiające większą liczbę ludzi. W godle miasta (r. 1692) — zachowanym do dziś odbiciu pieczęci — widoczne są elementy mówiące o Puszczy Sokołowskiej. W herbie Sokołowa z wieku XVII widzimy potężne drzewo o niezwykle grubym pniu i mocnych korzeniach. Nad koroną drzewa — sylwetka sokoła w locie. Pieczęcie miejskie w XIX i XX wieku zawierają podobne elementy.

Najprawdopodobniej w pierwszej ćwierci XVII wieku miasto otoczono wałem, którego fragmenty zachowały się do dziś. Jak w wielu innych miastach, tak i w Sokołowie fortyfikacje te zostały zniesione później z polecenia władz zaborczych. Sokołów był miastem prywatnym, należał do najznaczniejszych polskich rodów magnackich, z których żaden nie miał tu siedziby.

Dawne miasta były ośrodkami wymiany towarowej dla okolicznych wsi, a także skupiały rzemieślników. Podobnie było i z Sokołowem, który zasłynął przede wszystkim z rozwoju szewstwa, stolarstwa i garncarstwa. Najstarszy (1585 r.) cech szewców zawsze był najliczniejszy. Kiedy w roku 1885 Lwowska Izba Rękodzielnicza zbierała oferty z 43 miast, których cechy szewskie zgłosiły gotowość podjęcia się dostaw butów — Sokołów podjął się wykonania 50 tys. par obuwia. Inne miejscowości, a także i Rzeszów, występowały z ofertami znacznie mniejszymi (około 20 tys. par). Silny i liczebny był cech stolarzy, garncarzy i kowali. Dekret Benedykta Grabińskiego (19. V. 1771) jednego z właścicieli Sokołowa wymienia oprócz ślusarzy i kowali dość niecodzienne zawody: „mieczników, iglarzów, szpilczarzów, kotlarzów, złotników, rymarzów i powroźników".

Barwny pochód młodzieży ciągnie ulicami Sokołowa. Zasadniczą grupę stanowią uczennice Liceum Ogólnokształcącego. Towarzyszą im setki mieszkańców; dorośli, uczniowie Technikum Ekonomicznego, szkoły podstawowej. Zatrzymują się przed domem kultury, krótkie przygotowanie i rozpoczyna się koncert „sokołowskich słowików" (chór Liceum Ogólnokształcącego) zagłuszany nieco przez ryk motorów kołujących na znajdującej się w pobliżu beczce śmierci(!). — Nie ma porównania... ich a nasze dzieciństwo — słyszę rozmowę dwóch starszych panów. Uczą się, bawią, są dobrze ubrani.

W roku 1744 biskup Sierakowski znalazł w Sokołowie dwie szkółki, w jednej uczył organista, w drugiej z ramienia miasta bakałarz. Ten sam biskup podczas wizytacji w roku 1754 stwierdził, że nie ma w mieście ani jednej szkoły, bo pan dziedziczny na szkoły nie pozwala. Jakie były tego rezultaty nietrudno się domyśleć. Np. dokument urzędowy z roku 1778, zarówno wójt, podwójci i czterej burmistrze „podpisali" z wyjątkiem pisarza przysięgłego — krzyżykami.

— Przeżyłam trzy dwudziestolecia. Może dlatego najlepiej potrafię porównać i wnikliwie ocenić dorobek każdego z nich — mówi jedna z organizatorek liceum w Sokołowie — Julia Smolak. Kiedy wreszcie zdecydowano — wspomina — że mam iść do szkoły średniej, złośliwi przycinali: „Ojciec bez spodni, a córkę do szkoły posyła... Po co babie szkoła, księdzem i tak nie będzie...". Liceum, które powstało 20 lat temu, stało się niejako kontynuacją tajnego nauczania prowadzonego w okresie okupacji. Z początku trudności było sporo. Nie tylko ze znalezieniem nauczycieli, zdobyciem sprzętu. Rodzice nie mieli do szkoły zaufania. Długo wahali się zanim zapisali swoje dzieci. Brak było także podręczników, może bardziej niż w innych miejscowościach, w których wcześniej istniały już szkoły. Zdarzało się nieraz, że rodzice przepisywali dzieciom całe podręczniki.

Absolwent szkoły, obecnie dyrektor sanatorium w Górnie — Kazimierz Stawiarski — z uznaniem i pewnym rozczuleniem wspomina swoją starą szkołę. Dumny jest, że właśnie ukończył jako jeden z pierwszych sokołowskie liceum. Po kilku latach pobytu na innym terenie wrócił do Sokołowa, podobnie jak i wielu jego kolegów.

Do pierwszego rozbioru Polski Sokołów należał do ziemi przemyskiej. W roku 1853, podczas kolejnej zmiany systemu administracji galicyjskiej Sokołów był przez kilka lat stolicą powiatu. W czasie I wojny światowej kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, nie ponosząc na szczęście strat materialnych. Po I wojnie światowej miasto podupadło, straciło charakter ośrodka handlowego, zlikwidowano wiele urzędów. Do roku 1939 niewiele się w Sokołowie zmieniło. Okres zaś okupacji, a przede wszystkim 4-dniowe bombardowanie (rozpoczęło się nazajutrz po wyzwoleniu Sokołowa — 26 lipca 1944 r.) spowodowało bardzo znaczne zniszczenia.

— Życie z trudem i powoli wracało do normy. W sierpniu 1944 r. ukonstytuowała się złożona z 9 obywateli Miejska Rada Narodowa — mówi pierwszy po wyzwoleniu burmistrz — Jan Koziarz. Najważniejszym zadaniem dla nowej rady była elektryfikacja. 23 grudnia 1945 r. zabłysły na ulicach pierwsze lampy elektryczne. Wiele wysiłku kosztowało nas także organizowanie liceum. Nawet szkolne pulpity (5-metrowej długości) transportowaliśmy furmankami aż z Górna.

* * *

Sokołów na czas dni obchodu 400 rocznicy powstania przybrał odświętny wygląd, na który złożyły się skromne, lecz ze smakiem (i wcale nie małomiasteczkowe) wykonane dekoracje oraz większa niż zwykle troska o czystość miasta. Bogaty był także ich program! A więc mieliśmy dzień oświaty, rzemiosła, harcerzy itp.

Organizatorzy pomyśleli także i o trwałej pamiątce. Wydano ceramiczne plakietki z okazji 400-lecia Sokołowa i 20-lecia liceum. Niezapomnianych przeżyć dostarczyło spotkanie z poetą ziemi sokołowskiej — Janem Bolesławem Ożogiem. Dużym zainteresowaniem cieszyła się zorganizowana dzięki uprzejmości kierownictwa Muzeum w Rzeszowie wystawa z dziejów Sokołowa, która przekonała i zachęciła ojców tego 400-letniego grodu do zorganizowania własnego muzeum.

Fot. R. BILSKI

na wprost

Oby rozum był przy młodości

Tak wzdychał kiedyś Jan z Czarnolasu przed paroma wiekami. Nie ze wszystkim czasy się zmieniły, skoro z utęsknieniem i dzisiaj często powtarzamy to marzenie. Niektórzy mniej wymagający powiadają — „jeśli już nie rozum, to przynajmniej odrobinę kultury". Najczęściej zaś wzdychają w tym duchu ludzie, których los skazał na sąsiedztwo z internatami czy domami akademickimi. Okazuje się, że to niełatwo dźwigać na barkach zaszczyt mieszkańca miasta akademickiego. Najwięksi entuzjaści młodzieży akademickiej wierzącej, że ta młodzież prowadzi ożywienie kulturalne i twórczy ferment w Rzeszowie z przerażeniem spoglądają na Dom Studencki WSI mieszczący się w wieżowcu przy ul. Lenartowicza. Ferment jest na 5 fajerek, ożywienie jeszcze większe, tylko że kultury w tym ani za grosz. Tam z górnych pięter oblewa się spokojnie przechodniów wodą, bombarduje się starymi papuciami, lub wykrzykuje się na całe osiedle. Tamże co wieczór prowadzi się przez okna flirty z pomocami domowymi z pobliskich wieżowców, głośne i bardzo bezpośrednie. Od czasu do czasu odbywają się w poszczególnych pokojach liczniejsze spotkania towarzyskie suto zakropione. Kończą się zwykle na balkonikach donośnymi koncertami chóru i orkiestry, oczywiście, koło północy. Cały ten zresztą „ożywiony ferment", zawsze zaczyna się o 9 wieczorem i trwa do 22 lub 24. Próbujcie pracować lub spać w takich okolicznościach, zwłaszcza gdy ze względu na upał nie można zamknąć okien. Gdy zaś któraś z odważniejszych kobiet wyjdzie na balkon, by poprosić sąsiadów o ciszę, rejteruje szybko pod gradem kpinek i szyderstw, rozbawionych inżynierów in spe. W ciągu dnia młodzieńcy przeprowadzają dokładną lustrację mieszkań sąsiadów przez lornetki. Kiedy się uczą, nie wiadomo — przy tylu rozlicznych zajęciach chyba już na to czasu nie starczy.

— Rozumiemy, że Dom Studencki to nie klasztor — powiadają zmaltretowani sąsiedzi. Niechby sobie wywijali kozły, bawili się... ale kulturalnie, przy zasłoniętych oknach.

Jak tu się dziwić żalom i pretensjom mieszkańców wieżowców. Przecież ci młodzi ludzie zdawali gdzieś maturę, są ludźmi dojrzałymi... Czyż to możliwe, by do tej pory nie nabyli elementarnych nawyków kulturalnego człowieka! W dodatku oni ustalają wzór postępowania, obyczajów, sposobu bycia dla młodzieży ze szkół średnich. W praktyce jednak nie ma żadnej różnicy miedzy chłopaczkiem z internatu Zasadniczej Szkoły Zawodowej a studentami WSI.

Na pewno są wśród mieszkańców Domu Studenckiego ludzie cisi, spokojni i kulturalni. Tacy, których nie słychać i nie widać. I ci będą czuli się pokrzywdzeni i urażeni tonem tego felietonu. Niestety ci, których widać i słychać urabiają opinię dla wszystkich. Jest na pewno w Domu Rada Mieszkańców czy seniorów, niechże ci kulturalni i pracowici opanują ją, i narzucą własny styl obyczajowy wspólnemu domowi.

Tak wiele mówi się i pisze u nas o szkodliwości dla zdrowia ludzkiego wielkomiejskiego hałasu. Uczeni badają możliwości ograniczania do minimum hałasu mechanicznego skądinąd koniecznego do normalnego funkcjonowania miejskiego organizmu. A tu młodzi, intelegentni ludzie doprowadzają do wibracji włókna nerwowe swych sąsiadów tylko przez bezmyślność i brak kultury. Tu nie chodzi o rozdzieranie szat na temat „Jakaż to jest nasza młodzież!". Niechże sobie będzie żywiołowa, wesoła, kipiąca werwą, niech zachowa jaki chce styl życia, tylko o pół tonu ciszej. Żyje w społeczeństwie i do jego wymagań stosować się musi.

JOTGIEL

ELWIRA TURSKA
reżyser Państwowego Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie
Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Sukces polskiej malarki

Dorocznym zwyczajem urządzone zostało w Rzymie malarskie święto wiosny. 5 czerwca ulica Margutta — „główna kwatera" cyganerii artystycznej Rzymu przekształcona została w wielki salon wystawowy. 575 autorów, w tym 510 Włochów, oraz 65 malarzy innych narodowości, głównie Francuzów i Amerykanów, eksponowało 2300 obrazów, zawieszając je na murach kamienic i rozstawiając na chodnikach.

Międzynarodowy tłum artystów przez cztery dni okupował Via Margutta, a jezdnią — zamkniętą dla ruchu kołowego — przesuwały się w niesłychanym tłoku dziesiątki tysięcy osób, by choć pobieżnie obejrzeć tę oryginalną ekspozycję, cieszącą się dużym rozgłosem, a w Polsce znaną m. in. z wyświetlanego na naszych ekranach filmu włoskiego, właśnie pod tytułem „Via Margutta".

W tym roku wśród artystów wystawiających swe prace na Via Margutta znaleźli się także Polacy — Rafał Chołodzyński i Bimali Horska-Zborowska, która otrzymała jedno z kilkunastu odznaczeń przyznanych przez władze Rzymu i jury wystawy za najlepsze prace.

Zdarzenia TYGODNIA

25 bm. na zaproszenie Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych „13 Muz" wyjechał do Szczecina na festiwal poezji K. I. Gałczyńskiego Teatr Słowa Związku Teatrów Amatorskich „Meluzyna" ZDK WSK w Rzeszowie. Zespół wystąpi podczas organizowanego po raz pierwszy tego rodzaju festiwalu z poematem Gałczyńskiego pt. „Niobe". Występ „Meluzyny" w Szczecinie jest dużym wyróżnieniem, gdyż do udziału w festiwalu, oprócz estrad zawodowych, zaproszono jedynie dwa zespoły amatorskie.

* * *

Przebywający w Polsce dr Jurij W. Kucharenko z Instytutu Archeologicznego Akademii Nauk ZSRR w Moskwie gościł ostatnio w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie. Uczony interesował się kulturą łużycką i okresem rzymskim w związku z przygotowywaną pracą o polskiej archeologii, ze szczególnym uwzględnieniem ośrodka rzeszowskiego. Gość zwiedził muzea w Krośnie, Sanoku i Przemyślu oraz nawiązał bliższe kontakty z rzeszowskimi archeologami.

* * *

W lokalu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie czynna jest wystawa wydawnictw, zorganizowana pod hasłem: „Witamy IV Zjazd PZPR". Na wystawie zgromadzono wydawnictwa dotyczące ruchu robotniczego w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem woj. rzeszowskiego.

* * *

21 czerwca w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie odbyły się popisy dziecięcych i młodzieżowych zespołów artystycznych rytmiki i tańca. Wystąpiły zespoły mandolinistów, gitarzystów i akordeonistów.

* * *

W Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu czynna jest wystawa pn. „Postępowe i rewolucyjne tradycje młodzieży UJ (1864—1939)", zorganizowana wspólnie z Muzeum Lenina w Krakowie.

* * *

W łańcuckim klubie „Arkona" od czwartku 25 bm. czynna jest wystawa malarstwa Jadwigi Dziedzielewicz. Dorobek artystki (portrety, kompozycje, krajobrazy) mieli poprzednio możność oglądać mieszkańcy Rzeszowa, Przemyśla i Jarosławia.

* * *

W Wojewódzkiej Bibliotece dla Dzieci w Rzeszowie wystawiono nagrodzone prace, nadesłane na konkurs „Moi rówieśnicy we współczesnej literaturze polskiej dla młodzieży". W konkursie wzięło udział ok. 350 dzieci, z których nagrodzono 94. Niektóre odpowiedzi na pytania konkursowe są bardzo interesujące, jak również ich opracowanie graficzne. Prace budzą zainteresowanie nie tylko rówieśników, ale i dorosłych.

* * *

W ubiegłą sobotę odbyło się uroczyste zakończenie i rozdanie nagród dla zwycięzców radiowego konkursu pt. „Czy znasz literaturę Polski Ludowej", zorganizowanego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i Rozgłośnię Polskiego Radia w Rzeszowie.

Ilość trafnych, w stosunku do nadesłanych odpowiedzi, świadczy o znajomości przez uczestników polskiej literatury współczesnej.

„Kamena" nr 12

Nowy, 12 numer „Kameny" zawiera szereg interesujących pozycji. M. in. piszą w nim: E. i R. Rosiakowie — „Idźmy dalej po tej drodze", E. Iserzon — „Reforma studiów wyższych", E. Suchora — „Narodziła się we wsi Krasne", E. Mysłowski — „PPR — szeregi i przywódcy (2)", J. Swoboda — „Swaradź — znaczy wolność", E. Kozikowski — „Wspomnienie o Reymoncie", B. Bartoszewicz — „O czerwcowych kwiatach i pięknej uwerturze", S. Chaniec-Chanachowicz — „Jeszcze raz o Indochinach", J. Gembicki — Poglądy i przeglądy — „A dzieci czytają...", C. Błońska — „Nobliwe hobby", E. Skarżyński — „Ludzie nad bagnami", A. Kamieńska — „Poezja niepisana", K. Głogowski — „O dwóch premierach", Jędrzej — „A miłość?". Poza tym wiersze poetów rzeszowskich, przegląd plastyczny, przegląd prasy, kronika kulturalna itp.

WOLNOŚĆ NADCHODZIŁA OD WSCHODU

Walki nad Sanem

Pancerna gwardia wyzwala Przemyśl — Niemcy uciekają z Jarosławia i Przeworska — Linia Sanu przełamana.

W tym czasie, kiedy korpusy pancerne generała Katukowa przeprawiły się przez San między Jarosławiem i Radymnem, stwarzając poważne niebezpieczeństwo wojskom hitlerowskim, które miały bronić linii umocnień rozbudowanych wzdłuż tej rzeki, na wschodzie walki toczyły się jeszcze w rejonie Lwowa, gdzie Niemcy stawiali bardzo silny opór. Dowództwo radzieckie postanowiło obejść miasto z północy i południa, używając do tego 3. armii pancernej gwardii gen. Rybałki i 4. armii pancernej gen. Leluszenki.

W dniach 22 i 23 lipca wojska pancerne gen. Rybałki, po 120-kilometrowym marszu, oskrzydliły Lwów z północy i zachodu, osiągając 24 lipca rejon na południe od Jaworowa. I podobnie jak Katukow pod Radymnem, tak tutaj Rybałko rozdziela swe siły na dwie części do ataków w dwu różnych kierunkach. Jedna część naciera od zachodu na Lwów, druga rusza na Mościska i Przemyśl. Tak więc na gród Przemysława suną dwa korpusy pancerne gwardii: jeden od Radymna, drugi od Mościsk. Z miasta uciekają ostatni folksdojcze, gestapowcy i niemieccy urzędnicy administracji. Ich droga wiedzie przez Dubiecko i Dynów, a podróż nie należy do przyjemnych. Wprawdzie samoloty radzieckie zajęte bardziej militarnymi obiektami, czasem tylko dla postrachu ostrzelają kolumny uciekinierów, ale za to polscy partyzanci niejednokrotnie zaatakują znienawidzonych okupantów.

25 i 26 lipca trwa bitwa o odstęp do Przemyśla i ciągnie się pojedynek artyleryjski obu stron. To wtedy właśnie atakowane przez samoloty Pokryszkina bombowce niemieckie zrzucają w popłochu ładunek na głowy cofających się własnych wojsk, byle tylko szybciej, bez ciężaru, uciec na zachód. Wreszcie w nocy z 26 na 27 lipca pod naciskiem oddziałów radzieckich Niemcy opuszczają Przemyśl, wysadziwszy w powietrze kilka obiektów.

27 lipca korpusy pancerne armii Katukowa i Rybałki spotkały się w Przemyślu. Zwłaszcza czołgiści Katukowa mieli powód do dumy. Byli wśród nich żołnierze, którzy pod tym miastem w 1941 roku rozpoczynali walkę z hitlerowcami. To właśnie pod Przemyślem batalion czołgów majora Sytnika z 8 korpusu zmechanizowanego zniszczył doszczętnie hitlerowców, którzy przeprawili się 22 czerwca 1941 r. przez San i uniemożliwił forsowanie rzeki innym oddziałom niemieckim. Po trzech latach trudnych walk ci czołgiści 8. korpusu, którzy później weszli w skład armii pancernej gen. Katukowa, znów zajechali swoimi maszynami do Sanu. Gen. Mikołaj Popiel w 1941 roku, zastępca dowódcy 8. korpusu do spraw polityczno-wychowawczych, a w 1944 roku członek Rady Wojennej 1. armii pancernej gwardii, w swojej książce „Czołgi zawróciły na zachód" tak opisuje wrażenia z pierwszego dnia pobytu w wyzwolonym Przemyślu.

„Pod wieczór znalazłem się w Przemyślu. Nasi żołnierze i miejscowa ludność gasili przystacyjne budynki. Gdzieś zawodząco, połykając coraz nowe taśmy, stukał karabin maszynowy.

Korowkin podprowadził moją „34-kę" pod fortecę — ostatnie ognisko nieprzyjacielskiego oporu w mieście. Wyciągnąłem z futerału mauzer, Bałykow wydobył pistolet maszynowy. Zeskoczyliśmy na kamienne płyty. Skądś z dołu dochodziła strzelanina. Po dziedzińcu biegli fizylierzy i ginęli w wąskich drzwiach ukrytych w niszach. Nagle strzelanina ustała. Jeden odosobniony wystrzał, drugi — i cisza.

Szliśmy, potykając się po schodach, a w nos bił kwaśny zapach wilgoci i zgnilizny. W pierwszej chwili po wejściu z ulicy nic się nie widziało.

Bałykow zapalił latarkę. Z przeciwnej strony nadciągały postacie z podniesionymi rękami. Resztki załogi oddawały się do niewoli.

Na dworze lejtnant, chowając pistolet do kabury, instruował jeńców:

— Porządeczek trzeba zachować, nie jesteście u Hitlera. Dla was wojna skończona. Będziecie teraz w obozach kartofle sadzić...

Słońce jeszcze nie zaszło. Nabrzeże Sanu wypełnił tłum. Kobiety w lekkich, jasnych sukienkach śpiewały po polsku. Pucołowaty chłopiec, starannie uczesany, z przedziałką, podbiegł do mnie i podał bukiecik kwiatów. Zadowoleni rodzice — młoda matka i szpakowaty, utykający na nogę ojciec — uścisnęli mi rękę.

Pogrążony w myślach szedłem wzdłuż nadbrzeża. To tutaj stały armaty, które uderzyły przed świtem 22 czerwca. A tam na drugim brzegu powoli rozchodziła się po sobotniej zabawie młodzież. Potem przez ten oto most przeszły czołgi znaczone krzyżami, 3-osiowe ciężarówki z piechotą, generalskie ople, autobusy sztabowe... Stąd wypełzła wojna.

I to, że powróciliśmy w te same miejsca, było nie tylko zwykłym zwycięstwem wojskowym, ale wielkim triumfem sprawiedliwości, drogiej wszystkim uczciwym ludziom..."

Gen. Rybałko (w środku), dowódca 3. armii pancernej gwardii w rozmowie z oficerami swojego sztabu.

W tym samym dniu co Przemyśl, radzieckie uderzenie oskrzydlające wyzwoliło Jarosław, któremu nie pomogła niemiecka 24 dywizja pancerna sprowadzona aż z Rumunii, a następnie przegoniło hitlerowców z Przeworska. Jednocześnie trwają działania wojsk 1 Frontu Ukraińskiego, które rozwiały ostatecznie niemieckie marzenia o obronie na Sanie. Celem wojsk radzieckich jest dotarcie do Wisły. Działania są zbieżne. Część oddziałów naciera frontalnie od wschodu (13 armia gen. Puchowa) część zaś (jednostki pancerne) pędzi lewym brzegiem rzeki na północny zachód. Te właśnie działania wyzwalają Leżajsk, Sokołów, Rudnik, Nisko oraz wiele sąsiednich miejscowości.

WITOLD SZYMCZYK

Grupa radzieckich żołnierzy w wyzwolonym Przemyślu.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 138. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.